Integracja migrantów po polsku: państwo mówi „pracuj”, a potem zamyka drzwi

Olena Babakova • Krytyka Polityczna

Migracja przynosi realne korzyści gospodarcze i demograficzne, a rezygnowanie z nich z powodu niechęci do skorygowania kilkunastu procedur, „bo tu jest Polska”, jest zwyczajnie nierozsądne.

W strukturze polityki migracyjnej tradycyjnie wyróżnia się trzy zasadnicze filary. Pierwszy to polityka wjazdu, regulująca kto i na jakich warunkach może przekroczyć granice państwa. Drugi dotyczy wydawania dokumentów uprawniających do pobytu (i pracy) w kraju – jego celem jest stworzenie ram dla tych, którzy chcieliby zostać dłużej. Trzeci wreszcie to polityka integracyjna, której zadaniem jest włączanie cudzoziemców w społeczeństwo przyjmujące i jego instytucje, co w dłuższej perspektywie sprzyja utrzymaniu spójności społecznej.

Polska debata na temat migracji w ostatnich latach została przesunięta w stronę regulacji wjazdu (kryzys na granicy polsko-białoruskiej, afera wizowa) oraz ograniczania katalogu możliwości dla osób chcących zostać w Polsce na dłużej (duża reforma prawa migracyjnego latem tego roku). Integracja pozostaje w cieniu. Prawica straszy nas opowieściami o tym, że na Zachodzie się nie udała, a „liberalny” rząd Tuska traktuje migrantów w pierwszej kolejności jako wyzwanie dla bezpieczeństwa.

Co więc naprawdę dzieje się z polską polityką integracyjną? Kto się nią (nie) zajmuje? I jak mogłaby wyglądać?

Zacznijmy od terminologii: asymilacja to nie integracja

Integracja to wielopoziomowy i długotrwały proces włączania migrantów w społeczeństwo przyjmujące. Nie oznacza ona „rozpuszczenia się” nowych sąsiadów w lokalnej populacji, lecz wzajemną adaptację. Ten dwukierunkowy ruch jest kluczowy. I wcale nie chodzi budowę społeczeństwa multi-kulti, co dziś wielu Polakom jawi się jako wyjątkowo nieatrakcyjne. Są rzeczy bardziej praktyczne: czy instytucje publiczne są gotowe obsługiwać migrantów, jak mówią o nich media, czy podejmowane są tematy istotne dla nowej grupy użytkowników usług publicznych.

Ze strony społeczeństwa przyjmującego nie jest to kwestia „uginania się”: migracja przynosi realne korzyści gospodarcze i demograficzne, a rezygnowanie z nich z powodu niechęci do skorygowania kilkunastu procedur „bo tu jest Polska” jest zwyczajnie nierozsądne.

Choć polscy politycy często używają pojęć integracji i asymilacji zamiennie, są to procesy zasadniczo odmienne. Asymilacja zakłada całkowitą utratę różnic kulturowych i społecznych oraz jednostronną adaptację. Idea ta może brzmieć kusząco, ale w praktyce (przynajmniej w pierwszym pokoleniu migrantów) jest niemożliwa do osiągnięcia. Po pierwsze, ludzie nie adaptują się do abstrakcyjnej „kultury”, lecz do bardzo konkretnych społeczności, które wyglądają

zupełnie inaczej na warszawskim Wilanowie niż w lubelskim Hrubieszowie. Po drugie, sami Polacy mają bardzo różne wyobrażenia o tym, co znaczy „być Polakiem” (tu kłaniają się wszystkie kultowe cytaty na temat gorszego sortu i agentury niemieckiej). Po trzecie, coś zawsze będzie się różnić: o ile akcent da się z czasem wypracować, o tyle koloru skóry zmienić się nie da. Długotrwałe, z góry nieskuteczne próby prowadzą raczej do frustracji i reaktywnego powrotu do własnych korzeni. To zresztą widzieliśmy w krajach Europy Zachodniej, które w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych najpierw traktowały migrantów wyłącznie jako tanią siłę roboczą, a potem próbowały ich asymilować.

Integracja do pewnego momentu może toczyć się samoczynnie (choćby poprzez relacje sąsiedzkie lub zawodowe) i bez wątpienia wymaga indywidualnej motywacji. Trudno jednak nauczyć się korzystania z instytucji publicznych, jeśli same te instytucje nie są otwarte. Tym bardziej że wiele „migranckich” zawodów, kluczowych dla polskiej gospodarki (opiekunki, kierowcy, serwisanci), wiąże się z niską ekspozycją na społeczeństwo przyjmujące, a kilkunastogodzinna praca nie sprzyja chodzeniu na kawę z Polakami. Bez publicznych facylitatorów ten proces się po prostu nie wydarzy.

Integracja po polsku: doraźne działania zamiast polityki publicznej

Choć Polska nie ma dziś – i nigdy nie miała – roboczej koncepcji polityki integracyjnej (nad nią obecnie pracuje MRPiPS), działania integracyjne były prowadzone od połowy lat dwutysięcznych, głównie przez trzeci sektor (kursy językowe, poradnictwo w sprawach legalizacji pobytu), a sporadycznie przez samorządy (Rafał Trzaskowski jest dobitnym przykładem tego, że często miały charakter wyłącznie PR-owy). Państwo do tego się nie dokładało, kasa pochodziła głównie z UE. Liczba beneficjentów była ograniczona ze względu na dominujący czasowy, rotacyjny charakter migracji zarobkowej do Polski do końca lat dziesiątych.

Prawdziwym game changerem był rok 2022, gdy do Polski przyjechały setki tysięcy ukraińskich uchodźców wojennych. Byli to migranci inni niż wcześniej: nie sezonowi pracownicy skupieni głównie na wysokości wynagrodzenia netto, lecz przede wszystkim matki z dziećmi, intensywnie korzystające z infrastruktury społecznej, w pierwszej kolejności szkół i ochrony zdrowia. Do Polski weszli wówczas duzi międzynarodowi donorzy, inwestując nie tylko w pomoc humanitarną, lecz także w kursy przekwalifikowania zawodowego, umiejętności miękkich i przedsiębiorczości.

Zabrakło działań skierowanych do Polaków, pomagających im zaadaptować się do nowej rzeczywistości. Bo Polska w ciągu zaledwie dekady stała się miejscem zamieszkania dla 2,5 miliona cudzoziemców, którzy są aktywni na rynku pracy, lecz nie są podmiotem debaty społecznej ze względu na brak praw wyborczych. Efekt jest opłakany: kampania prezydencka 2025 roku zamieniła się w festiwal ksenofobii, także ze strony salonu liberalnego. Nawet wobec Ukraińców, którzy obok Białorusinów są migrantami kulturowo najbliższymi Polakom.

Czy migranci czują się w Polsce akceptowani? Dane są niejednoznaczne. NBP twierdzi, że nawet 73 procent Ukraińców w Polsce ma w swoim otoczeniu chociażby jednego Polaka, do którego mogą zwrócić się w trudnej sprawie. Gremi Personal potwierdza, że Ukraińcy czują się akceptowani w pracy, ale tylko co dziesiąty – w swojej społeczności lokalnej. Jedno jest pewne:

Polacy, pod wpływem retoryki zarówno prawicy, jak i KO, coraz częściej postrzegają migrantów albo jako zagrożenie, albo zasób ekonomiczny, odmawiając poparcia nawet dla relatywnie tanich programów społecznych (w lutym 2025 roku 88 procent Polaków opowiadało się za odebraniem 800 plus dzieciom niepracujących ukraińskich uchodźczyń, chociaż podatki od innych pracowników z tego kraju pokrywają go kilkakrotnie).

Nic więc dziwnego, że w Międzynarodowym Indeksie Polityk Migracyjnych MIPEX 2024 Polska uzyskała zaledwie 44 punkty na 100 możliwych, lądując obok państw bałtyckich, Rumunii i Bułgarii. Uprzedzając komentarze, że „bogatym krajom łatwiej idzie w integrację” – drugie miejsce, z wynikiem 83 punktów, zajęła Portugalia, której gospodarkę w wymiarze PKB per capita Polska już dziś wyprzedza.

Często pojawia się też argument: „przyjeżdżali, przyjeżdżają, jest ich dużo, pensje rosną – to wystarczająca motywacja, by tu zostać i się zintegrować”. Po części to prawda: możliwość zarobku i życie bez nocowania w schronie przeciwbombowym mają ogromną wartość. Nie zmienia to jednak faktu, że relacje między migrantami a Polakami mogą być napięte i niekomfortowe, co rujnuje spójność społeczną.

„Nie podoba się, to niech wyjadą!” – słyszymy, ale rzeczywistość jest bardziej złożona. Możliwy jest scenariusz, w którym narastająca ksenofobia faktycznie wypchnie migrantów z Polski. Bardziej prawdopodobny jest jednak inny: ludzie będą tu nadal mieszkać i pracować, ale pozostaną wyalienowani – z powodu charakteru wykonywanej pracy i domniemanej wrogości ze strony społeczeństwa przyjmującego.

Jak państwo polskie blokuje integrację migrantów zarobkowych

W najbliższych latach polska polityka integracyjna będzie w pierwszej kolejności adresowana do legalnych migrantów zarobkowych, przybyłych głównie z Ukrainy i Białorusi, choć geografia migracji stopniowo rozszerza się na Azję Południową i Amerykę Łacińską. Migracja uchodźcza i humanitarna – biorąc pod uwagę polską politykę wjazdu, ochrony granic oraz wyłączenie spod części zapisów Paktu Migracyjnego – ma w Polsce charakter marginalny. Ukraińcy przebywający obecnie w Polsce na podstawie statusu PESEL UKR od marca 2026 będą musieli przejść na inne, „zarobkowe” tytuły pobytowe. Zresztą nawet w ramach ochrony czasowej nigdy nie korzystali z pełnego katalogu praw przysługujących uchodźcom.

Fundamentem polskiej polityki integracyjnej powinny być znormalizowane, przewidywalne i prowadzone z poszanowaniem klienta procedury legalizacji pobytu.

Dziś mamy do czynienia z dramatem.

Średni czas oczekiwania na kartę pobytu w Polsce to około 9 miesięcy, przy czym są województwa, w których sięga on 19 miesięcy. W Warszawie osobiste złożenie wniosku jest niemożliwe, a wnioski wysłane pocztą czekają na rejestrację – w najlepszym razie – około pół roku. Dzięki artykułowi 108 ustawy o cudzoziemcach migranci, którzy złożyli wniosek o zezwolenie na pobyt czasowy, przebywają w Polsce legalnie. To, czy mogą legalnie pracować, zależy jednak od obywatelstwa i rodzaju dokumentu, na którym przebywali przed złożeniem wniosku. Mają

problemy ze zmianą pracy, wynajęciem mieszkania, wyjazdem za granicę – co jest szczególnie dotkliwe dla osób w zawodach wymagających wysokiej mobilności.

Dlaczego tak się dzieje – wiemy z raportów NIK z lat 2019 i 2023. Nie jest to więc „ślepa plamka” polityki państwa, lecz świadoma niechęć do rozwiązania problemu. Skutki są podwójne: podważone zostaje zaufanie migrantów do państwa przyjmującego, a samo państwo traci zdolność realnej oceny liczby migrantów długoterminowych i planowania adekwatnych polityk publicznych. Integracja to przecież orientacja na przyszłość – a jak planować przyszłość bez ważnych dokumentów i wiedzy, kiedy w ogóle się je otrzyma?

Imigranci a rynek pracy, instytucje, kultura.

Jeśli chodzi o integrację na rynku pracy, Polska wypada na tle Europy bardzo dobrze. Pracuje tu ponad 80 procent migrantów przybyłych poza kanałami humanitarnymi, a wśród Ukraińców, którzy przyjechali z powodu wojny, odsetek zatrudnionych sięga 70 procent. Można dyskutować o przyczynach, ale kluczowe wydają się dwa czynniki: niski próg wejścia na legalny rynek pracy (nie trzeba konstruować sztucznego „przypadku uchodźczego”, by legalnie wjechać i pracować) oraz brak rozbudowanego państwa dobrobytu.

Zanim ktoś zacznie zacierać ręce z radości: „oto dowód, że socjal tylko szkodzi”, warto dodać kilka mniej optymistycznych obserwacji. Znaczna część migrantów pracuje poniżej swoich kwalifikacji, często bez umów o pracę. Pod tym względem Polska już jest na tyłach UE. Utrata źródła dochodu i brak możliwości nawet czasowej rejestracji jako bezrobotny może oznaczać utratę prawa pobytu, co skłania ludzi do chwytania się nawet najbardziej prekarnych form zatrudnienia, byle nie stracić równowagi. Takie wybory mogą zaważyć na przyszłości migranckich dzieci – w Polsce możliwości edukacyjne najmłodszych są silnie powiązane ze statusem społecznym rodziców. To, że migranci w gorszej sytuacji życiowej (poza uchodźcami z Ukrainy do marca 2026 roku i tymi ze stałym pobytem) nie mogą liczyć na wsparcie ze strony państwa w przypadku utraty pracy ma długofalowe konsekwencje.

Osobnym problemem jest sytuacja osób pracujących w nieformalizowanych, choć niezbędnych sektorach gospodarki, np. w opiece nad seniorami. Już dziś to dziesiątki tysięcy pracowników, a przy obecnych trendach demograficznych sektor ten w ciągu dekady może zbliżyć się do miliona zatrudnionych. To praca wymagająca nie tyle ciągłych szkoleń, co cierpliwości, a zatrudnienie kogoś na pełnoetatowej umowie jest dla wielu polskich rodzin zwyczajnie nieosiągalne finansowo.

W perspektywie krótkoterminowej warto byłoby: zrewidować dostęp migrantów do przynajmniej części zawodów regulowanych (czy naprawdę nauczycielka języka angielskiego z Ukrainy musi przechodzić pełną procedurę „Karty Nauczyciela”?); dopuścić założenie JDG dla wszystkich cudzoziemców (to nie zrujnuje rynku, ale pomoże chętnym pozostać w bardziej wymagających zawodach, gdzie początkującym ciężko o umowę); stworzyć realną ścieżkę legalizacji dla freelancerów (dziś polskie prawo praktycznie nie daje takiej możliwości osobom bez „większościowego” pracodawcy w Polsce lub pracującym dla podmiotów zagranicznych).

Trzeba jednak pamiętać: rynek pracy nie może być jedynym wskaźnikiem integracji, a dziś właśnie tak jest postrzegany. Co z osobą, która obecnie nie pracuje, ale urodziła tu troje dzieci,

chodzących do polskiej szkoły i mówiących po polsku? Albo z kimś, kto pracować nie może, ale ma w Polsce pracujące dzieci? Byłoby paradoksem, gdyby niezwykle potrzebna polskiemu systemowi lekarka z Mołdawii wyjechała tylko dlatego, że nie ma z kim zostawić swojej schorowanej matki, a sprowadzenie jej do Polski nie jest prawnie możliwe.

Polski „model integracji” zamienia prawa socjalne w narzędzie wykluczania

Kolejnym obszarem jest włączenie migrantów w krąg beneficjentów polskich instytucji publicznych: NFZ, szkół i uczelni, systemu polityki społecznej. Ten temat budzi w Polsce duże emocje, za którymi idą politycy. Wystarczy wspomnieć ostatnie ograniczenia w dostępie do świadczeń medycznych dla ukraińskich uchodźców pod koniec okresu ochrony czasowej – świadczeń gwarantowanych im nie „dobrą wolą” Polski, lecz prawem UE.

Polskie instytucje zdały crash test w 2022 roku, ale nie były gotowe na to, że migranci – i ich dzieci – staną się klientami na lata. Szczególnie niepokojąco wygląda sytuacja w szkołach. Gdy ja i moi koledzy pytaliśmy ukraińskich uchodźców, którzy przebywali w Polsce w 2022 roku, a potem wrócili do ojczyzny, o przyczyny powrotu, argument o braku reakcji szkoły na bullying wobec dzieci pojawiał się zatrważająco często.

W Polsce nigdy nie było państwa dobrobytu dla migrantów – podobnie jak nie ma go w pełnym wymiarze dla obywateli. Nic dziwnego, że popularność zyskuje model duński, forsowany przez miejscowych socjaldemokratów w ciągu ostatniej dekady: radykalne ograniczenie i warunkowanie pomocy społecznej dla uchodźców i migrantów z globalnego Południa, indywidualne kontrakty integracyjne, samorządy monitorujące naukę języka i aktywność zawodową. Dwa razy zawalisz – pakujesz walizki.

Umyka tu kluczowy kontekst. Kraje Europy Zachodniej zaczęły ograniczać dostęp do zasobów państwa dobrobytu dopiero wtedy, gdy okazało się, że w przypadku części grup migrantów świadczenia zaczęły zastępować pracę, a życie wyłącznie we własnych wspólnotach prowadziło do gettoizacji. Najpierw była marchewka, potem kij. Poza tym dzisiejsza polityka duńska zwiększyła zatrudnienie, ale doprowadziła też – jak pisze Luice Tungul w raporcie dla Wilfried Martins Centre – do „adaptacji bez poczucia przynależności”.

W dodatku model duński opiera się na zasadzie: odsiewamy tych, którzy źle się integrują, a hojniej wspieramy tych, którzy robią postępy. Wymagamy dużo, ale też dużo dajemy. Polski system wygląda inaczej. Katalog praw socjalnych osoby, która przyjechała wczoraj w ruchu bezwizowym, i tej, która mieszka tu od 7–8 lat, regularnie płaci podatki i składki ZUS, ale z różnych powodów nie uzyskała jeszcze statusu rezydenta długoterminowego, jest zasadniczo podobny. Zarówno posiadacz pierwszej karty pobytu, jak i rezydent długoterminowy UE (status przewidziany dla osób o wysokim poziomie integracji) otrzyma 800 plus na dziecko tylko wtedy, gdy stale pracuje i osiąga określony poziom dochodu. W praktyce oznacza to jedno: czy przyjechałeś wczoraj na lotnisko Chopina, czy żyjesz tu od dziesięciu lat, masz dzieci, kupiłeś mieszkanie za zarobione w Polsce pieniądze – dla państwa pozostajesz tak samo obcy i podlegasz tej samej wysokiej presumpcji nielojalności.

To nie jest model duński, to polityka integracyjna w stylu najmu okazjonalnego: z góry zakładasz nieuczciwość najemcy, więc budujesz relację tak, by móc go w każdej chwili wyrzucić – niezależnie od tego, czy wynajmuje mieszkanie od miesiąca, czy od pięciu lat. Kij bez marchewki.

Grunwald, pszczoły i łapówki

Absolutnym minimum, jakie państwo powinno zaoferować migrantom, są kursy języka polskiego – dostępne zarówno pod względem geograficznym (w miejscu zamieszkania), jak i cenowo. Obecnie takie usługi oferują przede wszystkim szkoły komercyjne oraz organizacje pozarządowe, głównie w dużych miastach, a także nowo utworzone Centra Integracji Cudzoziemców. Zazwyczaj są to kursy podstawowe, bez przygotowania do państwowych certyfikowanych egzaminów.

Czy ważniejsze od języka jest posłuszeństwo wobec prawa i szacunek do tradycji? Być może. W Czechach od kilku lat funkcjonuje obowiązkowy kurs integracyjny dla osób ubiegających się o kartę pobytu, podczas którego migranci otrzymują podstawowe informacje o modelu państwa i społeczeństwa oraz o obowiązujących normach prawa. Pod koniec października polskie MSWiA zapowiedziało projekt zmian ustawy o obywatelstwie, w którym m.in. przewidziano dodatkowy test dla migrantów od dawna mieszkających i pracujących w Polsce, mający sprawdzać poziom ich integracji społeczno-kulturowej. Pojawiły się już przykładowe pytania: *odmień przez przypadki słowo „pszczoła”; jaką unię wzmocniło zwycięstwo pod Grunwaldem?; czy w Polsce akceptowalne jest wręczanie łapówek policji?*

To ostatnie jest po prostu poniżające. Ale czy wiedza o wydarzeniach z XV wieku rzeczywiście czyni Polaka Polakiem? – to już pytanie jak najbardziej zasadne. Sam pomysł przeprowadzania testu jest dobry: jego przygotowanie zmusiłoby polską administrację do sformułowania własnej wizji współczesnej polskości, z którą mieliby integrować się przyjezdni.

Jedno jest natomiast pewne: deportacje nie mogą być głównym narzędziem kształtowania kultury prawnej migrantów. A tak właśnie wygląda to dziś – wystarczy spojrzeć na media społecznościowe resortu spraw wewnętrznych. Po pierwsze, ich nieselektywne stosowanie stoi w sprzeczności z zasadą proporcjonalności kary: reakcja państwa powinna odpowiadać wadze popełnionego czynu i uwzględniać dotychczasowe relacje migranta z krajem przyjmującym. Po drugie, gdy kara za wszystko jest tak samo surowa, a deportacje coraz częściej przeradzają się w medialne spektakle, migranci tracą i tak niską motywację do zgłaszania naruszeń prawa wśród swoich rodaków („no tak, nie płaci podatków – to źle, ale żeby go od razu deportować?”).

Jeśli w poprzednich obszarach – rynku pracy i instytucji – kluczową rolę odgrywa państwo, tworząc ramy prawne i polityczne, to w przypadku integracji społeczno-kulturowej prym wiodą organizacje pozarządowe i samorządy lokalne. Zresztą, to partnerstwo już pozwoliło otworzyć 34 z 49 planowanych Centrów Integracji Cudzoziemców. Migranci integrują się przede wszystkim na poziomie lokalnym. I tu najpilniejszym pytaniem nie jest wcale to, jak pracować z cudzoziemcami, lecz tworzenie przestrzeni, w których Polacy i migranci mogliby spędzać ze sobą czas.

Do tanga trzeba dwojga

Kluczową cechą integracji jest jej dwukierunkowy charakter. Migranci przyswajają praktyki i okazują szacunek tradycjom społeczeństwa przyjmującego, a społeczeństwo akceptuje fakt, że obok żyją ludzie o innej specyfice społeczno-kulturowej – i że nie są oni „zasobem”, z którego można w nieskończoność czerpać, niewiele dając w zamian, lecz ludźmi. Ludźmi, którzy po pewnym czasie życia w kraju oraz nabyciu kompetencji (przede wszystkim językowych) stają się współobywatelami, mającymi prawo współdecydować o losach państwa.

Odwlekanie tego momentu – co proponuje dziś praktycznie każda formacja przedstawiająca własne projekty zmian ustawy o obywatelstwie – niekoniecznie sprzyja lepszej integracji migrantów, za to bez wątpienia wydłuża okres ich społecznego wykluczenia (a jeśli przypomnimy sobie problemy z uzyskaniem kart pobytu, skutki są jeszcze bardziej dotkliwe).

Sama możliwość pracy, jaką oferuje dziś Polska, nie wystarcza do integracji. Niezbędna jest ekspozycja na społeczeństwo przyjmujące, której wielu migrantów – ze względu na charakter pracy czy cechy osobowości – nie jest w stanie zapewnić sobie samodzielnie.

W Strategii Polityki Migracyjnej na lata 2025–2030 rząd Donalda Tuska zapowiadał działania edukacyjne skierowane do Polaków, mające pokazywać korzyści płynące z migracji i w efekcie obniżać poziom ksenofobii i rasizmu. Kto by pomyślał, że nieustanne chwalenie się tym, jak skutecznie deportujemy Ukraińców i Gruzinów oraz jak sprytnie udało się nie przyjąć uchodźców, ksenofobię raczej zwiększy, niż zmniejszy.

Jako mieszkanka Polski jak najbardziej zgadzam się, że migranci, którzy chcą tu zostać, muszą być lojalni wobec RP. Ale lojalność rodzi się z szacunku i solidarności, a nie zastraszania. Można otworzyć setkę kursów dla migrantów i przeprowadzić tuzin egzaminów na polskość, ale bez zmiany standardu debaty publicznej te wysiłki pójdą na marne.

O autorce

Olena Babakova
Absolwentka Wydziału Historii Kijowskiego Uniwersytetu Narodowego im. Tarasa Szewczenki, doktorka nauk humanistycznych w zakresie historii Uniwersytetu w Białymstoku. W latach 2011–2016 dziennikarka Polskiego Radia dla Zagranicy, od 2017 roku koordynatorka projektów w Fundacji WOT. Współpracuje z polskimi i ukraińskimi mediami, m.in. „Europejską Prawdą”, „Nowoje Wriemia”, „Aspen Review”, Kennan Focus on Ukraine. Pisze o relacjach polsko-ukraińskich i ukraińskiej migracji do Polski i UE.